

Zofia Dubińska

Przez zasłonę czasu

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 3(24), 8-12

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przez zasłonę czasu

Niezapomniana Pani Zofia Dubińska nie raz nawoływała i zachęcała do spisywania wspomnień. Sama skreśliła, jak pisała w kolejnych listach do nas, podwójnych emigrantów z Ziemi trocko-wileńskiej i Warszawy, kilka obrazków z życia codziennego Karaimów w latach swojego dzieciństwa i młodości. Oto kolejny ułamek tego tematu-rzeki, jakim są wspomnienia z dawnych lat.

Emilia Zajączkowska-Łopatto

Gdy w 1922 r. przyjechalśmy ze Związku Radzieckiego do Trok, wpadliśmy od razu w wir karaimskiego życia religijnego i kulturalno-oświatowego, bujnie rozwijającego się dzięki staruszkowi już, hazzanowi Zachariaszowi Mickiewiczowi i młodemu, wówczas początkującemu, pełnemu zapału i energii hazzanowi Szymonowi Firkowiczowi. W gościnnym domu Emilii Łobanosowej, babci Aleksandra Dubińskiego, tętniło życie intelektualne pod przewodnictwem jej córek: Zofii i przede wszystkim Lidii Poziemskiej.

W Trokach istniała już pięcioklasowa szkoła podstawowa z karaimskim językiem nauczania. W Domu Gminnym w dużej sali uczyły się cztery pierwsze oddziały jednocześnie: jeden pisał, drugi czytał, trzeci rachował, czwarty malował itp., a w małym pokoiku obok – piąty. Prowadzili tę szkołę panna Maria, nazwiska nie pamiętam, Polka i Szymon Firkowicz, nieprzeciętni pedagodzy i dydaktycy, pełni poświęcenia i oddani sprawie.

Do szkoły chodziły dzieciaki rozpoczynające naukę oraz panny prawie na wydaniu i chłopcy pod wąsem, którym wojna przerwała normalny przebieg edukacji.

W latach 1919-1923 Karaimi wracali z uchodźstwa, tzw. „bieżeństwa”, a więc były to dzieci, które ewakuowały się wraz z rodzicami z Trok i teraz wracały, a były i takie, które urodziły się i wychowały w Rosji. Zjeżdżano się ze wszystkich krańców Związku. Co kilka dni przyjeżdżała któraś rodzina i nowi uczniowie zjawiali się w szkole, przychodzili zarówno w czasie przerwy, jak i w czasie trwania lekcji. Pamiętam, gdy któregoś dnia podczas pauzy jak burza, huragan wpadli bracia Ławrynowiczowie: Michaś, Romuś i Awa. Natychmiast się zakotłowało i zaczęła się bójka wśród chłopców. Ale szybko zaprzyjaźniliśmy się i życie toczyło się normalnym trybem. Nasi opiekunowie, panna Maria i hazzan Firkowicz potrafili umiejętnie przewycięzać wszystkie przeciwności i zintegrować powierzoną im społeczność dziecięcą.

W Trokach działały aktywnie, zorganizowane i kierowane przez Lidię Poziemską i hazzana Firkowicza, amatorski teatr karaimski i amatorski chór karaimski. Po

kilkuletniej tułaczce i poniewierce wojenno-rewolucyjnej, skołatani i zubożali bieżący-uciekinieryzy witali z radością i wzruszeniem rodzimą mowę płynącą ze sceny, nie rzadko też włączali się w nurt miejscowego życia artystycznego.

I chociaż było biednie, głodno i chłodno, sytuacja w kraju jeszcze nieunormowana, jedna dewaluacja goniła drugą, żyło się swobodnie, wesoło i beztrzesko, z kulturą i intelektem. Ówczesną sytuację ekonomiczną ilustruje piosenka ułożona przez domorosłych poetów, o tym, jak to kawaler przyszedł się oświadczyć, posadzono go za stołem i poczęstowano... kartoflami w mundurkach – był to nie rzadko rarytas w owym czasie.

W latach trzydziestych Lidia Poziemska z całą trupą amatorską troczan przyjechała do Wilna. Entuzjastycznie oklaskiwaliśmy w Domu Gminnym naszych Rodaków z Trok.

Po powrocie z tułaczki wojennej duszpasterstwo w Wilnie objął Feliks Malecki. Życie religijne, kulturalno-oświatowe i towarzyskie w Wilnie koncentrowało się w Domu Gminnym, ofiarowanym jeszcze przed pierwszą wojną przez braci Józefa i Romualda Łopattów. W Domu Gminnym mieszkali Feliks Malecki i późniejszy hazzanowie: Józef Łobanos, a następnie Rafał Abkowicz z rodzinami. Pieczę nad Domem i jego majątkiem sprawowali mieszkańcy tegoż Domu: Anna Rojecka, jej córka Nina z mężem Jakubem Poziemscy i druga córka Justyna Rojecka. Dzięki ich gościnności i uprzejmości Dom Gminny był dla nas jakby drugim poza naszym własnym domem, stał dosłownie zawsze otwarty dla każdego, nigdy nie zastałam go zamkniętym, tu uczyli nas religii i języka nasi hazzanowie, tu na grach i zabawach, my, beztrzeska niegdys młodzież, spędziliśmy niejedną godzinę.

Zanim zbudowano kienesę, w ogromnym, zajmującym pół parteru pokoju odbywały się nabożeństwa, poza tym miały tu miejsce wszystkie imprezy społeczno-towarzyskie, takie jak zgromadzenia członków gminy, spotkania dorosłych i młodzieży, wesela, chrzciny, przedstawienia, bale, zabawy, maskarady itp. Zawsze było tu ciepło, jasno i czysto.

Karaimski teatr amatorski w Wilnie zorganizowała i prowadziła plastyczka Lidia Szole. Po jej wyjeździe do Warszawy młodzież zorganizowała kilka przedstawień. Jakiś czas, naturalnie przed wyjazdem do Krakowa w 1925 r., teatrem zajmował się też Ananiasz Zajączkowski.

Czy to w Trokach, czy w Wilnie, przedstawienia amatorskie cieszyły się ogromnym powodzeniem. Przychodzili na nie wszyscy bez wyjątku, wszystkie pokolenia bez względu na urodzenie, wykształcenie, stan majątkowy, np. nie przypominam sobie żadnej krytyki repertuaru czy



*Czardasz. Lidia Szole
i Aleksander Kisielewicz*

wykonawców. Bawiliśmy się rozkosznie! Nie opuszczaliśmy żadnego przedstawienia, chociaż często znało się treść z prób, na które czasem przypadkowo się trafiło, lub z uczestnictwa kogoś bliskiego w przedstawieniu. Sztuki odzwiercadlały życie codzienne Rodaków w całej jego krasie, ze wszystkimi jego słabostkami i śmiesznościami, miały charakter dydaktyczno-satyryczno-moralizatorski, gwoli pouczenia

i rozweselenia, i wielkich, i maluczkich. Niektórzy widzowie żywo reagowali na to, co się działo na scenie, żyli wydarzeniami rozgrywającymi się przed ich oczyma, identyfikowali ludzi i sytuacje, które im kojarzyły się z osobami i wypadkami z prawdziwych zdarzeń. Inni zamieniali się w słuch i chłonęli niecodzienną, niepowtarzalną atmosferę teatru, komuś łezka zakręciła się w oku, ktoś popłakał się, a byli i tacy, którzy z trudem powstrzymywali śmiech. Różnie reagowali Rodacy na te same sytuacje.



*„Pieśń góralska”
– z prawej Tatjana Kozyrowiczówna,
z lewej Halina Łobanosówna. Wilno, 1 lutego 1931 r.*

W sztuce „Szymson Haggibor”, tzn. „Siłacz”, ojciec nie chciał wydać za mąż córki – grała ją Nadzieja Jutkiewiczówna – za uczonego i mądrego kawalera, w którego wcielił się Ananiasz Zajączkowski. Odmowę ojciec motywował tym, że uczonego nie zarobi na życie (takie to niegdyś panowały pojęcia!), a silny i zdrowy chłop pił i siekierą, tj. piłowaniem i rąbaniem drzewa zapewni rodzinie utrzymanie. A młodzi bardzo się kochali. Ojciec na zięcia upatrzył sobie siłacza – tj. Izajasza Jutkiewicza tzw. „Waligórę”. Niestety, temu z kolei nie imponowała panna delikatna i spokojna, siedząca przy oknie i dzierga-

jąca jakieś tam robótki. On szukał dziewczyny zdrowej i silnej, mogącej zarzucić na plecy worek ogórków, albo worek kartofli i zamiesić oraz upiec chleb z puda mąki, tj. z 16 kilogramów. A zatem młodzieńcy umówili się, stanęli do walki, uczonego pokonał siłacza i osiągnął swój cel.

Na jednym z przedstawień Szymon Nowicki, zwany „Facetem”, wysoki, przystojny, wówczas jeszcze szczupły, grał szanownego, czcigodnego pana. W owym czasie zewnętrzną cechą czcigodności i dostojeństwa bywała złota dewizka na wydatnym brzuszku – i tak go właśnie ucharakteryzowano. Otóż skończywszy swoją kwestię, wychodząc z pokoju, tzn. opuszczając scenę, uśmiechnął się tajemniczo-szelmowsko-łobuzersko do publiczności, mrugnął porozumiewawczo, wyjął jasek spod kamizelki, potrząsnął nim i powiedział: „Nie myślcie, że jestem w szóstym miesiącu ciąży!”



Scena z „Wiplislar tiuwiul kijowlar” („Czorty nie kawalerowie”) od prawej: „Fumla” – Zofia Dubińska, „Jona” – Szymon Nowicki, „Saduk” – Edward Pilecki, „Chanym” – Walentyna Łobanosówna, „Jemima” – Halina Łobanosówna, „Naama” – Anna Michajłowiczówna. Wilno, 1 lutego 1931 r.

Pewnego razu rodowity troczanin, mieszkający i pracujący poza Trokami zawitał do rodzimego grodu na motocyklu¹, wydarzenie niebywałe. Kilka razy przejechali się z jedną z panien po miasteczku i okolicy. Miejscowy chłopak mógłby najwyżej przewieźć pannę wozem drabiniastym sprzęgniętym z jednym koniem o napędzie na owies. Otóż w amatorskim teatrze panna ta² grała płochą dziewczynę zakochaną lekkomyślnie w jakimś nikomu nieznanym przybyszu. Adorator ulotnił się. Biedna bohaterka miota się po scenie, załamuje ręce i w rozpaczy wykrzykuje: „Kim mieni ałyr!?” tzn. „Kto teraz ze mną się ożeni!?” W tej chwili pełnej grozy i napięcia jakiś chłopak ryknął: „Nie bój się!” i wymienił imię i nazwisko zmotoryzowanego kawalera. On też był na widowni.

¹ Na motorze przyjechał Marcin Firkowicz.

² Nina Firkowiczówna, potem Kozyrowiczowa, córka hazzana Szymona Firkowicza, autorka sztuki.

Kiedyś na jednym z przedstawień w Wilnie aktor, czy dostał tremy, czy też nie nauczył się roli, a uwodziły go dwie panny – takie miał powodzenie na scenie, stoi jak mur i milczy. Sufler podpowiada, cała sala słyszy, aktor nie reaguje, sufler podpowiada głośniejsze, na scenie cisza, sufler ryknął kwestię, na cały głos i dodał od siebie: „Czy ty ogłuchł, żeby ciebie cholera wzięła!”. W pewnej chwili aktor błędnym wzrokiem zatoczył dookoła, krzyknął: „*Ōliam!*”, co oznacza „Umieram!” i jak długi runął na kozetkę. Nie wiem, czy tego wymagała treść sztuki, czy też to była im-



S. Szpakowski
Humorysta · Satyryk

prowizacja. Pobłażliwa publiczność w pełni została usatysfakcjonowana – miała teatr taki czy inny, ale miała.

Bodaj w 1936 albo w 1937 roku przyjechał z Warszawy do Wilna z objazdowym teatrem kabaretowym a t y r y c z n y m Aleksander Szpakowski. Koło Pań poprosiło go by zechciał na zabawie w Domu Gminnym zagrać coś ze swego repertuaru. Powie-

dział on, że nie wystąpi, ale bardzo chętnie wyreżyseruje coś, jeżeli znajdą się amatorzy. Naturalnie zgłosiło się wielu chętnych, na przykład w skeczu parodiującym radio, w owym czasie temat bardzo chwytliwy, radio rzadko było dostępne; przedstawiono jak to do mikrofonu krzywy, chromy, zgarbiony, nie mogący się wyprostować starzec mówi o sporcie, o tężyznie fizycznej, o gimnastyce, a znowu obdartus daje niezawodne porady jak się wzbogacić, zaś brzydki, rozczochrany koczkodan trajluje o wielkim powodzeniu, miłości i deklamuje wiersze erotyczne.

W skeczu „Biuro matrymonialne” zabłysnął niepospolitym talentem Aleksander Zajączkowski. Do biura matrymonialnego przychodzi kawaler. Proszą go by usiadł, ale on, Aleksander odpowiada: „Mama kazała na stojąco”. I ten uroczy, przeuroczy mężczyzna, pełen humoru i temperamentu, brunet o czarnych zabójczych oczach, wielbiel kobiet i uwielbiany przez kobiety, wcielił się w rudego, piegoatego ciamajdę, maminsynka, a dla dodania seksowego posmaczku obracał w dłoniach słomkowy kapeluszek jakby przykrywał pewną wstydliwą część ciała.

Pułkownik Aleksander Abkowicz upamiętnił pewną naszą tradycję: „Powiał jesienny wiaterek, a sezon balowy się zaczął, prezes urządził zabawę”. A więc karnawał ka-

raimski rozpoczął się po *Boszatłych*, a do obowiązków Prezesa Gminy należało zapewnić podopiecznym rozrywkę. I dziś w Warszawie, po kolacji w *Boszatłych* mawiamy: „A teraz do Trok na zabawę!”, bowiem w tym dniu zabawy trockie szczególnie przyciągały młodzież wileńską, panowie fundowali taksówki i zapychano do rodzimego grodu. Troki i troczanie stwarzali jakąś specyficzną, niepowtarzalną atmosferę, promieniowali świeżością, tężyzną, siłą, dowcipem i gościnnością, panowały tu niepodzielnie równość i demokracja. Wszyscy, i swoi, i goście, tworzyli zwartą jedność, wszyscy czuli się równi, każdy dom w Trokach miał gościnnie otwarte podwoje. Ten sam, wyżej wspomniany Szymon Nowicki, „Facet” już jako starszy pan z prawdziwym brzuszkiem, nazywał Troki „*Ganiedień*”, tzn. „Rajski ogród, raj”. Skąd pseudonim „Facet”? Otóż jako chłopak na przełomie stuleci XIX i XX gościł w Warszawie u kuzyna swojej matki, pana Szymona Chorczenki. Po powrocie do Trok opowiadał z zachwytem i przejęciem o warszawskich „facecjach”, często posługiwał się tym słowem, w Trokach jeszcze nie zadomowio-



Wieczorek w Domu Karaimskim w Wilnie 31.10.1931r.
Od lewej: Dawid Nowicki, Michajłowiczówna (Anna?),
mecenas Zachariasz Nowachowicz z Halicza,
Emilia z Łobanosów Szole-Jutkiewicz,
Szymon Szulimowicz z Halicza,
Lena z Ławreckich Jutkiewiczowa.
Z tyłu: Arkadiusz Jutkiewicz, Marek Sulimowicz

nym. Żona jego to była „Facetowa”, a córki nawet przedstawiały się jako „Facecianki” albo „Facetówny”.

Na zabawy przychodziły wszystkie pokolenia. Starsi, chociaż sami już nie tańczyli, lubili popatrzeć na bawiącą się młodzież i powspominać minione bezpowrotnie lata. Na zabawie łączyło się przyjemne z pożytecznym – spotkania towarzyskie, ploteczki, najnowsze wiadomości ze słodka drzemką. Na zabawach w Trokach bawiono się bardzo wesoło i nie krępująco. Stroje nie obowiązywały, obok panów wymuskanych, w czarnych wizytowych strojach, czasem w smokingach i lakierkach, harcowali miejscowi w kortowych ubraniach, zapiętych na guziki pod szyję, w podbitych podkówkami i żabkami butach z cholewami.

Takie różnice nikogo nie raziły, nikogo nie krępowały, nikomu nie przeszkadzały.

Jak wieść gminna niesie, kiedyś właśnie taki miejscowy mistrz poleczki „Usia-siusia, usia-rusia” z przytupem, jak z rozmachu, obcasem opatrzonym w żelazną podkówkę przydepnął stopę przyjezdnego tancerza, tak zdarł kawał lakierka i jedwabnej skarpetki, wraz z nagniotkiem. Kiedyś znowu wilnianin na zabawie w Trokach w upojonym tangu rozmarzonym, rozanielonym wzrokiem, jak tego wymagała ówczesna moda, wpatrywał się w tancerkę. Akurat mijali drzemiącą pod ścianą jakąś ciocię, ta budzi się ze snu i pyta sąsiadkę, kim jest ów młodzieniec; ta odpowiada, kto go rodził i płodził, a ciocia indaguje dalej: „ale dlaczego on patrzy na nią akurat tak, jak moja cieluska patrzyła na mnie, kiedy zdychała”. Oj, ci Karaimi troccy, mieli cięty języczek, jak ktoś im się naraził, to nie mógł siebie poznać w ich interpretacji.

Życie towarzyskie w Wilnie ożywiło powstałe na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Koło Pań Karaimek. Aktywnie działało ono dzięki inicjatywom Prezeski, Anny Zajączkowskiej i wydatnej pomocy jej męża Aleksandra oraz członkiń Koła: Elżbiety Dubińskiej, Anny Kobeckiej, Maryni Kobeckiej, Wiery Kobeckiej, Raisy Kozyrowiczowej, Niny Łopattowej, Raisy Łopattówny, Ziny Łopattówny, Anny Michajłowiczówny, Elżbiety Szpakowskiej, Marii Zajączkowskiej i innych. Prezeską honorową Koła była Wiera Szapszałowa. Wprawdzie panowie wyżywiali się, podkpiwali z nas, nazywali nas „kołowate panie” i jeszcze trochę inaczej, w czym do pewnego stopnia celował mąż Prezeski, tym niemniej podziwiali naszą działalność i umiejętność opróżniania ich sakiewek.

W każdą pierwszą sobotę miesiąca Koło Pań urządzało zabawę lub bal, łączono je często z różnymi imprezami dodatkowymi, jak przedstawienia, loterie fantowe. Kiedyś na przykład na jednym ze spotkań „Ciotka Albinowa”, taki nasz wileński „Wiech”, przeczytała swoje radiowe felietony, innym razem zabawiał nas jakiś prestidigitator. Z dochodów z imprez, ze składek i innych ofiar udzielało się zapomogi biednym, uczącej się młodzieży, zakupywało się naczynia stołowe i kuchenne, sztuce, obrusy itp. W Domu Gminnym można było przyrządzić i urządzić przyjęcia na kilkaset osób, a herbatę piło się z ogromnego samowara, mieszczącego ze 3-4 kubły wody, pamiętającego chyba ubiegłe stulecie (to znaczy wiek XIX). Smakosze-znawcy wysoko oceniali smak i zdrowotne właściwości wody ze studni w podwórzu Domu Gminnego.

Tymbyłki wielkanocne wypiekaliśmy prawie wszyscy w Domu Gminnym, gdyż tu mieliśmy ogromny piec i komplet niezbędnych przyborów, narzędzi i maszyn do wypieku. Większość akcesoriów pochodziło chyba jeszcze sprzed I wojny.

Z opłat za wejście na zabawę opłacano orkiestrę, dochód przynosiły bufet i loterie fantowe, toteż często

i bufet, i fanty bywały częściowo lub całkowicie ofiarowane przez członkinie i członków społeczeństwa.

Kiedyś na przykład Raisa Łopattówna ogłosiła na jakiejś zabawie, że każdy pan, który poczęstuje ją kieliszkiem krupniku i sam wychyli drugi, dostanie ognistego całusa. Panowie ustawili się w kolejce. Każdy z panów wypijał kieliszek krupniku, a płacił za dwa, bo Raisa sączyła napój z jednego kieliszka po kropelce, a że krupnik do bufetu został ofiarowany może nawet przez samą Raisę, zysk wypadł podwójny. I tak panowie dawali się nabierać na cele społeczne.

Otóż utarł się taki towarzyski zwyczaj. Gdy na zabawie kybiny wypiekane przez mistrzynię sztuki kulinarnej, Ninę Poziemską, były gotowe, jak to się mówiło, wychodziły z pieca, Prezes Mecenas Zajączkowski jako pierwszy zjawiał się w kuchni z półmiskiem, degustował kybiny i delectował się ich smakiem, co zachęcająco wpływało na obecnych, przykład działał i kybiny szybko znikaly w bufecie. On dawał hasło, a inni szli jego śladem.

Jakież na przykład bywały obowiązki Prezesa? Przed wojną przyjeżdżały do nas z Litwy panny i wychodziły u nas za mąż. Kiedyś przyjechała do Wilna, do przyjaciółki pewna samotna pani z Poniewieża³. Jedna z naszych pań wilnianek postanowiła ożenić brata⁴. Panna ponoć nie zamierzała zmieniać stanu cywilnego. Więc dzielna, energiczna siostrzyczka skierowała swe kroki do Prezesa. Wygłosiła płomienne przemówienie i obarczyła go obowiązkiem ożenienia brata, motywując, że jest synem i wnukiem znanych i poważnych swatów; jako adwokat potrafi wmawiać i namawiać, a jako Prezes powinien dbać o dobro wyznawców – Rodaków i swoich wyborców. Biedny Prezes, panny na oczy nie oglądał i nie przypominam sobie, by kiedy występował w charakterze swata, ale w tym wypadku chyba zadziałał.

Przed nabożeństwem, a był to w ogóle dzień świąteczny przy wejściu do kienesu spotkali się przypadkowo, a może i nie przypadkowo, Mecenas z gościem i jej przyjaciółką. Mecenas powitał gościa i zaprosił obie panie na zabawę mającą odbyć się wieczorem. Panna jednak postanowiła wracać do domu, ale przyjaciółka wyjaśniła jej, że nie wypada nie przyjąć zaproszenia Prezesa. No i kandydat przyprowadził obie panie na zabawę. I tu zajął się nimi Aleksander, brat Prezesa: bawił, zabawiał w pewnej chwili z bufetu wręczono mu bombonierkę i Aleksander rozpoczął licytować ją sposobem amerykańskim⁵. Stawką było 10 groszy lub ich wielokrotność, Aleksander w jed-

³ Basia Tynfowiczówna przyjechała do Ziny Pileckiej, matki adwokata Eliasza Pileckiego.

⁴ Tatiana Jakowlewna Szpakowska postanowiła ożenić brata, Aleksandra (Saszę) Chorzenkę.

⁵ Chętni wrzucali kolejno monety, a ten, którzy wrzucił jako ostatni kwotę brakująca do wyznaczonej uprzednio, a nieznaną grającym sumy, wygrywał [red.].



*Chwila relaksu podczas balu.
Od lewej: Michał Szpakowski, Tamara Szyszman,
Adolf Szpakowski, Elek Tynfowicz,
Nina Szpakowska (Gdańska),
Michał Kobecki i Eugenia Szpakowska.*

nej ręce trzymał słodycze, a w drugiej kapelusze, do którego wrzucano dziesięciogroszówki. Raz szepnął kandydatowi, by wrzucił 10 groszy..., drugi raz..., wreszcie polecił wrzucić 20 groszy. Ten sychnął 20-tkę i Aleksander ogłosił wszem i wobec jego wygraną. Trafił bowiem szczęśliwie na wyznaczoną sumę. Po pięknym, eleganckim przemówieniu brat Prezesa wręczył szczęśliwemu graczowi słodycze i szepnął mu: „klękniń teraz na jedno kolano i wręcz pannie bombonierkę!”, po czym lekko go pchnął w kierunku wybranki serca. I ten z wrażenia padł na oba kolana i oświadczył, że składa u jej stóp nie tylko słodycze, ale i całe swoje życie. Naturalnie wszyscy wiedzieliśmy co się święci i z zainteresowaniem śledziliśmy przebieg kampanii. Otoczyliśmy ich, zaczęliśmy klaskać, śpiewać „Sto lat” i tak para skojarzyła się.

Konkursy tańców towarzyskich też urozmaicały zabawę, a jakże. Upamiętnił się jeden z balów. Dwie pary wyróżniły się, bosko tańczyły, nie sposób było ocenić, która lepiej: Elek Szpakowski z Tanią Kozyrowiczówną czy Elek Tynfowicz z Tamarą Szpakowską (Szyszman).

Było to w końcu lat trzydziestych. Na balu w Domu Gminnym w Wilnie, w drzwiach do Sali balowej spotkali się i zaczęli rozmawiać małżonkowie rozwiedzeni przed kilkunastu laty⁶. On po rozwodzie wyjechał, ona pozostała w Wilnie. Oboje już ułożyli swoje życie osobiste. On i ona cieszyli się ogólnym szacunkiem naszej społeczności. Bodajże pierwszy raz po rozwodzie właśnie tu zetknęli się. Rozmawiają. Czas rozpocząć zabawę. Orkiestra gra tusz. Nikt nie wchodzi do sali. Nie chcą przeszkadzać mile gawędzącym. Orkiestra zagrała jeden taniec, drugi... Sala pusta. Zdenerwowany dyrygent podchodzi do Aleksandra Zajączkowskiego i pyta, dlaczego nikt nie wchodzi. Alek-

sander poleca grać. W pewnej chwili byli małżonkowie zorientowali się, że tarasują wejście, on elegancko uklonił się pani i rozpoczęli tany, a za ich przykładem, jak za Podkomorzym w „Panu Tadeuszu”, poszli inni.

Gdy Aleksander rozliczał się z orkiestrą, dyrygent zapytał, dlaczego na początku nikt nie tańczył. „To nasza sprawa” – odpowiada Aleksander, ale dyrygenta coś kociło, no i Aleksander wyjaśnił mu, jakie to mogą czasem zaistnieć okoliczności. Wtedy dyrygent bardzo przeprosił Aleksandra i usprawiedliwił swoją ciekawość: „Pan nas zamówił, my tu pierwszy raz graliśmy, ani tusz, ani pierwszy, ani drugi taniec nie zachęciły nikogo do wejścia na salę. Przestraszyliśmy się, że nas tu nie chcą, że ktoś nie dopuszcza tancerzy do sali, że może już biją się i mogą w każdej chwili dobrać się do nas, więc obmyślaliśmy już sposób ucieczki, na szczęście parter, więc ustawiliśmy się przy oknach, by w razie potrzeby wyskoczyć i przede wszystkim chcieliśmy uchronić instrumenty przed ewentualnym pogromem”.



*Grupa teatralna przed Muzeum Karaimskim w Trokach.
4.09.1943 r. Od lewej stoją: Michał Firkowicz, Józef Firkowicz, Szymon Kobecki – reżyser spektaklu, Aleksander Zajączkowski, Marek Juchniewicz, Szymon Pilecki.
Poniżej: Lidia Firkowicz z Halinką Kobecką na kolanach, Bogusław Abkowicz, Lena Nowicka.*

Na jakie to niespodzianki narażały się dawniej orkiestry!

Amatorski teatr trocki dał ostatnie przedstawienie w czasie okupacji. Animatorem, reżyserem i autorem skeczy oraz scenek był Szymon Kobecki (ojciec Halinki i Oleńki). Oparł się on przeważnie na satyrze, ale już współczesnej. Odświeżył i unowocześnił repertuar, uwzględnił też i dawny. I tak, jak po przeżyciach pierwszej wojny łzy wyciskały nam piosenki „Dostum barasyn uruszha” – pożegnanie dziewczyny z lubym udającym się na wojnę, oraz „Nie iletys da sylzlets” – pocieszanie

dziewczyny, że luby wróci, tak po dwudziestu latach dla starszego pokolenia i młodego, przeżywających okropności drugiej wojny, duet Lidusia Firkowiczówna i Sławek Pilecki wzruszająco wykonał te obie piosenki.

Zofia Dubińska

⁶ W drzwiach spotkała się Miła Szalewiczowa ze swoim pierwszym mężem, Aleksandrem Szpakowskim, aktorem, reżyserem przedstawienia w Domu Gminnym. Po wojnie znalazł się w Anglii.